

Żuławy – potencjał regionu tkwi w ludziach

Z dr Aleksandrą Paprot-Wielopolską z Instytutu Antropologii
Wydziału Historycznego UG rozmawia mgr Magdalena
Nieczuja-Goniszewska, rzeczniczka prasowa UG



Doktor Aleksandra Paprot-Wielopolska

Fot. Bartłomiej Jętczak/CKiP UG



Klasyczny krajobraz żuławski

Fot. dr Aleksandra Paprot-Wielopolska



Dom podcieniowy w Markusach

► **Skąd u pani, jako naukowczynie, wzięła się fascynacja Żuławami?**

Urodziłam się na Żuławach, niedaleko Malborka, w miejscowości Stara Kościelnica, i zawsze mnie interesowało to, co jest wokół mnie. Podczas wycieczek mijałam różne stare domy, a w Stogach, w pobliżu Malborka, największy cmentarz mennonicki, który mnie fascynował. Żuławy to dość płaska kraina, więc kiedy byłam nastolatką, idealnie nadawały się do eksplorowania rowerem. Miałam też prababcię, która przyjechała na Żuławy z Kielecczyny. Bardzo interesowało mnie to, jak się tutaj znalazła. Takie poszukiwania wokół siebie i opowieści rodzinne doprowadziły mnie na kulturoznawstwo na Uniwersytecie Gdańskim. Tu rozwijałam swoje zainteresowania w Studenckim Kole Naukowym „Mozaika” pod opieką profesor Aleksandry Wieruckiej. Mogłam rozwijać pasje regionalne w towarzystwie kolegów i koleżanek ze studiów. Dużo zawdzięczam właśnie Oli Wieruckiej, która wspierała mnie w moich zainteresowaniach;

dziś postrzegam ją jako swoją pierwszą mentorkę. W 2010 roku trafiłam na badaczy z uniwersytetu w Poznaniu, którzy prowadzili badania na Żuławach Elbląskich. To byli etnolodzy. A u nas etnologia wtedy jeszcze raczkowała. Nie jeżdżono na Żuławy. Zainteresowały mnie więc te badania poznańskie i poszłam, znowu za kolejną mentorką – obecną profesorem Anną Weroniką Brzezińską, do Poznania. I tak kontynuowałam tę pasję związaną z Żuławami.

Pierwsze moje prace badawcze były związane ze wspomnianym mennonickim cmentarzem, ale potem zajmowałam się, również na studiach magisterskich na kulturoznawstwie, powojennymi przesiedleniami na Żuławy na przykładzie mojej rodzinnej miejscowości. Moja praca dyplomowa została nagrodzona w ogólnopolskim konkursie i wydano ją jako książkę *Stara Kościelnica – dzieje żuławskiej wsi*. Ten moment stał się dla mnie wskazówką, żeby jednak poświęcić się etnologii. Dzięki kulturoznawstwu dowiedziałam się, co tak naprawdę mnie interesuje. Pracę doktorską pisałam

z etnologii o powojennym kreowaniu tożsamości na Żuławach, ale też na Powiślu po 1989 roku, bo to są regiony położone blisko siebie. Natomiast moje pierwsze badania terenowe, podczas których rozmawiałam z ludźmi, dotyczyły najstarszych osadników, którzy po wojnie przyjechali na Żuławy. To były kilkuletnie badania prowadzone we współpracy właśnie z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Interesował nas stosunek przybyszy do dziedzictwa poniemieckiego, a przede wszystkim – konflikt między wniesionym dziedzictwem a tradycjami polskimi nakładającymi się na to dziedzictwo materialne pozbawione depozytariuszy, którzy przecież wyjechali po wojnie lub zostali przymusowo wysiedleni. Interesowało nas przejmowanie tego mienia, zawłaszczanie, a także poczucie tymczasowości – tu pojawił się motyw niszczenia artefaktów przeszłej kultury oraz nadzieja nowych osadników na powrót w strony rodzinne.

► **Kim byli tutejsi osadnicy? Skąd przybyli?**

Dom podcieniowy w Miłocinie

Fot. dr Aleksandra Paprot-Wielopolska



Zwykle to była ludność z Kresów Wschodnich, z centralnej i południowo-wschodniej Polski. Później, w 1947 roku, przybyła tu również ludność ukraińska i łemkowska w ramach akcji „Wisła”, a także reemigranci z Francji, więc na Żuławach stworzył się tygiel kulturowy, który jeszcze „ponakładał się” na zaszczości przedwojenne. Wcześniej mieliśmy tu także Krzyżaków, którzy zainicjowali stworzenie żuławskiego systemu melioracyjnego. Potem pojawili się mennonici – anabaptyści z Niderlandów – mieszkała tu też, ale trochę mniej liczna, grupa ludności polskiej, czy nawet ludność żydowska. Żuławy zawsze były wielokulturowe.

► **Ci, którzy przyjeżdżali, zajmowali czyjeś domy, gospodarstwa? Co stało się z rdzennymi mieszkańcami i z mennonitami?**

Część mennonitów sympatyzowała z nazistami. To historia, o której zbyt często się nie mówi, ale po woli historycy zaczynają odkrywać te karty. Mennonici, którzy z założenia byli pacyfistami, nie mogli sięgać po broń przeciwko bliżnim, jednak ówczesna sytu-

acja wpłynęła na dokonanie przez niektórych takiego wyboru. Po wojnie uznano ich za Niemców. A ludność niemiecka musiała te ziemie opuścić: cała część obecnej Polski zachodniej i północnej, czyli Śląsk Opolski, Dolny Śląsk, Ziemia Lubuska, Pomorze Zachodnie, Środkowe i Wschodnie, teren Wolnego Miasta Gdańska, Żuławy, Powiśle, Warmia i Mazury, została objęta przymusowymi wysiedleniami mieszkańców uznanych za Niemców. Pojedynczy menonici, Niemcy i niektóre rodziny zostawiali na wsiach żuławskich i byli tu jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku. Osadnicy, z którymi rozmawiałam, wspominali, że tuż po wojnie w niektórych wsiach pozostały jeszcze Niemki. Były to kobiety z różnymi traumami, samotne, z doświadczeniem gwałtu przez żołnierzy Armii Czerwonej. Wspólnota trudnego doświadczenia wojennego była czymś, co ludzi łączyło. Potem były akcje łączenia rodzin niemieckich, więc ci, którzy jeszcze w latach pięćdziesiątych XX wieku tu byli, wyjeżdżali z Polski. Zdarzało się, ale rzadko, że autochtoni w ramach małżeństw mieszanych pozostawali na Żuła-

wach. Od tych, którzy pozostali, po wojnie nowi mieszkańcy czerpali wiedzę, jak na przykład zajmować się uprawą buraka cukrowego.

Ludzie przyjechali z tak zwanych piasków – z obszaru Kieleckiego, Lubelskiego i Podkarpackiego, gdzie ziemia nie była tak urodzajna. A na Żuławach gospodarowano na mādach rzecznych. Tam siało się grykę, żyto, a tu pojawiły się buraki cukrowe. I co z nimi robić? Komunikowanie się było możliwe, bo byli też osadnicy, którzy poznali język niemiecki jako robotnicy przymusowi w III Rzeszy. Spotkałam się też z przypadkami osadniczek – wówczas młodych dziewczyn, mających po kilka, kilkanaście lat – które wspominały, że z tymi Niemkami-autochtonkami przyjaźniły się jeszcze w latach pięćdziesiątych XX wieku i mają z nimi wspólne zdjęcia. Ale potem te koleżanki wyjechały i kontakt się urwał.

► **Mówiła pani przed chwilą i o Żuławach, i trochę o Powiślu – proszę określić granice Żuław, ponieważ ten obszar jest bardzo duży. Zaczyna się właściwie jeszcze w Gdańsku.**



Dom podcieniowy w Stalewie

Fot. dr Aleksandra Paprot-Wielopolska

Tak – gdańska Olszynka to już Żuławy, w Gdańsku-Lipcach jest nawet dom podcieniowy, którego współczesne losy są dosyć skomplikowane. Najprościej można powiedzieć, że tam, gdzie jest płasko i poniżej poziomu morza, to na pewno są Żuławy.

► Depresja i kanały...

Od wybrzeża Żuławy oddziela pas Mierzei Wiślanej. Mamy trzy części: Żuławy Gdańskie, Wielkie Żuławy zwane malborskimi i Żuławy Elbląskie, które kończą się w okolicy jeziora Druzno. Żuławy zaczynają się w miejscowości Biała Góra, gdzie rzeka Nogat staje się ramieniem Wisły. To bardzo urokliwe tereny. Ze względu na system polderowy i melioracyjny o Żuławach niekiedy mówi się „mała Holandia”. Często te nawiązania do Holandii odnajdujemy w materiałach marketingowych, promocyjnych i w nostalgii za wiatrakami. Powiśle to już Sztum i Kwidzyn. Niektórzy zaliczają do Powiśla Malbork, ale jeżeli przyjrzeć się promocji miasta, to widać, że idzie ona w kierunku narracji żuławskich, choć faktycznie już tam zaczynają

się te powiślańskie charakterystyczne wzniesienia.

► Opowiedziała pani o tym, dlaczego Żuławy panią zafascynowały, ale dlaczego zdecydowała się pani pisać o tym miejscu z perspektywy ludzi, którzy pojawiali się tu po wojnie?

W szkole prowadziłam gazetkę szkolną i chciałam być dziennikarką, żeby rozmawiać z ludźmi. Pisałam więc artykuły, reportaże do „Gazety Malborskiej”. Pierwszy artykuł był o cmentarzu mennickim, potem o mojej prababci, która przyjechała po wojnie na Żuławy. Nie wiedziałam, że jest coś takiego jak etnologia. Stąd pojawiło się wspomniane wcześniej kulturoznawstwo i już podskórnie czułam, co mogę robić, jak wykorzystać moje zainteresowania. Antropologia kulturowa dała mi możliwość robienia tego, co lubię, czyli rozmawiania z ludźmi. Najczęściej z osobami starszymi, które mają największe doświadczenia i duży багаż życiowy. Obecnie pasjonuję się metodą wywiadu biograficznego, historią mówioną. Ona daje możliwości poznania

doświadczenia jednostki i spojrzenia na to, jak z perspektywy czasu nadaje ona sens swojemu życiu i określonym zdarzeniom, na przykład przesiedleniu albo temu, jak odnajdywała się na Żuławach, w jakie relacje wchodziła z ludźmi z różnych regionów.

► Czy cała pani rodzina, jak wspomniana prababcia, przyjechała z Kielecczyny?

Dwóch dziadków i jedna babcia z Kielecczyny, a druga babcia z Grodzieńszczyzny, z terenu dzisiejszej Białorusi. Ona przyjechała w ramach tak zwanych repatriacji, chociaż to nazwa propagandowa, bo przecież tam była kiedyś Polska.

► Czy ich doświadczenia też udało się pani spisać?

Przyznam, że dziadków nie udało mi się nagrać, bo bardzo wcześnie zmarli. Myślę, że kierunek moich badań to też wyraz jakiejś mojej tęsknoty za nimi, brakiem ich wspomnień, których nie usłyszałam. Wielu osadników, z którymi rozmawiałam, tych najstarszych, już też nie żyje, bo pierwsze wywia-



Dom podcieniowy w Bystrzy

Fot. dr Aleksandra Paprot-Wielopolska

dy przeprowadzałam jakieś piętnaście lat temu. Gdy w zeszłym roku chciałam zrobić powroty w teren, to już tych osób było bardzo mało, a wtedy na Żuławach nagraliśmy blisko pięćset rozmów...

► **Co się dzieje z tymi nagraniami?**

Wówczas nie było takich technologii, żeby tworzyć archiwum. Wszystko było na płytach CD i spisywaliśmy po prostu wywiady według kwestionariusza na temat dziedzictwa i doświadczeń osadników. Na tej podstawie opracowaliśmy książki – kilka tomów tematycznych, na przykład na temat osuwania obcego dziedzictwa kulturowego czy krajobrazu społeczno-kulturowego Żuław Elbląskich.

► **Czy prowadzi też pani inne badania, na przykład dotyczące życia codziennego na Żuławach? Czy, żeby zrozumieć te zmiany, które zachodziły tu po wojnie, badała pani zwyczaje wcześniej-szych mieszkańców?**

W związku z moim doktoratem zajmowałam się głównie kreowa-

niem tożsamości mieszkańców Żuław po 1989 roku, bo to jest ten moment, w którym mówimy rzeczywiście o odblokowaniu i demokratyzacji pamięci. W PRL-u w zasadzie wszystko było oparte na micie narodowym Słowiańszczyzny, mówiącym o tym, że „stare ziemie piastowskie wróciły do macierzy”. Nie mogła wybrzmieć ta historia ponemiecka. Przeglądałam działalność różnych instytucji pozarządowych, zapiski mieszkańców zwykłych małych miejscowości, którzy w ramach boomu poszukiwania korzeni po 1989 roku czuli potrzebę powiedzenia, że te Żuawy nie są tylko ponemieckie, ale też są ich, że oni też budują tu swoją już kilkupokoleniową historię. To zaczęło się dziać wśród osób z trzeciego pokolenia osadników, drugiego, które już tu się urodziło. Obserwowałam też, jakie strategie, narracje obierają na temat przeszłości różne instytucje. Pierwsze było zachłyśnięcie się tematem mennonitów do tego stopnia, że wszyscy teraz myślą, przyjeżdżając na Żuawy, że w zasadzie tam sami mennonici żyli, a to nieprawda, bo odsetek mennonitów nie był aż tak duży. Natomiast to,

w jaki sposób przekształcili oni ten krajobraz kulturowy, zagospodarowali, adaptowali go do swoich potrzeb, to robi wrażenie. Niestety powstało wiele mitów, z którymi różne instytucje próbują walczyć, na przykład że to dzięki mennonitom Żuawy istnieją, bo oni je zmeliorowali. A to nieprawda. Zapoczątkowali to Krzyżacy, a mennonici udoskonaili. Ale to jest nośne, bo też przez wiele lat Żuawy były przedstawiane jako krajobraz dla koniesera. Dla kogoś, kto potrafi wejrzeć w głębsze warstwy regionu, żeby go docenić.

► **Ten region, prawdę mówiąc, jest trochę taki... płaski i dla niektórych monotony – nie ma plaż, wzgórz, lasów...**

Jeśli ktoś polecał kiedyś Żuawy do zwiedzania, to ewentualnie w okresie wakacyjnym, kajakiem albo rowerem. W listopadzie jest szaro, buro i ponuro, a do tego bagniecie i lepiej wybierać się na spacer w kaloszach. Mnie się ten krajobraz bardzo podoba, daleko widać horyzont, ale trzeba nauczyć się to doceniać. A teraz Żuawy robią się modne. Obserwuję taki



Dom podcieniowy w Kępiewie

Fot. dr Aleksandra Paprot-Wielopolska

trend, że ludzie z Trójmiasta kupują stare domostwa poniemieckie, drewniane, podcieniowe, i remontują je, również za ministerialne dotacje. Potencjał tego regionu tkwi w ludziach i to widzę w moich badaniach. W rozmowach z ludźmi oraz w tym, jak ci ludzie ten region przekształcają, jak wykorzystują zasoby kultury, które już tu są. Dom podcieniowy w Cyganku-Żelichowie został zaadaptowany na gospodę, gdzie serwuje się dania inspirowane kuchnią mennonicką, a także podaje się ser *Werderkäse* czy kielbasę mennonicką. Ale oprócz tego w menu znajdziemy babkę ziemniaczaną, która nawiązuje do powojennej historii osadników z Kresów. Powstają takie hybrydy kulturowe – element kresowy z elementem mennonickim. Kiedyś, gdy jeździliśmy po Żuławach rowerami, trafiliśmy w miejscowości Władysławowo pod Elblągiem na stowarzyszenie, którego członkinie nosiły stroje inspirowane strojami mennonitów i serwowały pierogi inspirowane z kolei przepisami babci z Kresów. To pokazuje istotę Żuław – tutaj rzeczywiście ścierają się, mieszają i łączą elementy różnych kultur.

W ten sposób powstaje coś nowego.

Mieszkańcy Żuław często porównują się z Kaszubami i Kociewiakami, bo mają oni bardzo wyraźną kulturę i wielopokoleniowe tradycje. A na Żuławach mieszkańcy też chcą mieć na przykład swój strój ludowy. Najlepiej, żeby był kolorowy, bo kobiety z Kaszub i Kociewia na przeglądach mają kolorowe stroje. Często dostają zapytania z kół gospodyń wiejskich o to, jak wyglądał tradycyjny strój żuławski, bo chciałyby sobie taki uszyć. Na Żuławach tak naprawdę ten strój się po prostu nie wykształcił.

► Dlaczego?

Są różne teorie na ten temat. Jedna z nich mówi, że chłopci, gburzy, byli tak zamożni, że nie czuli potrzeby zaznaczania przynależności do swojej grupy jakimiś strojami, na przykład nie wytwarzali haftów. Na Kaszubach ten kolorowy haft został zapoczątkowany przez Teodorę Gulgowską po to, żeby ludność w jakiś sposób mogła dodatkowo zarabkować. Tutaj rzeczywiście – patrząc na Żuławę

Gdańskie – niejeden gospodarz był bardziej zamożny niż mieszczanie gdańscy, więc nikt nie czuł potrzeby zaznaczania przynależności do Żuław haftem lub zarabiania na nim. Na początku XX wieku powstał pomysł stworzenia haftu żuławskiego. Jego motywem przewodnim była pałka wodna nawiązująca do krajobrazu. Ale to się nie przyjęło.

Różne społeczności szukają innych form wyrazu. Kobięcy strój mennonicki znajduje się w Żuławskim Parku Historycznym. To strój w ciemnej kolorystyce, z białym czepkiem. Strojów protestanckich nie wyróżniały zbytek i krzykliwe kolory. I taki strój nie jest atrakcyjny, nie przykuwa wzroku na imprezach, więc siłą rzeczy tworzy się takie misz-masze inspirowane innymi regionami. I to dobrze oddaje specyfikę Żuław, bo są tu ludzie pochodzący i z obszaru krakowskiego, i z lubelskiego. Ja, jako etnolog, przyglądam się temu i nie oceniam. Jestem ciekawa wręcz, co z tego będzie. Może za sto lat okaże się, że z tych pomysłów wytworzy się „oryginalny” strój żuławski?

Silne sąsiedztwo Kaszub powoduje potrzebę budowania



Zabytkowa śluza w Białej Górze

Fot. dr Aleksandra Paprot-Wielopolska

żuławskiej tożsamości, wywołuje chęć zaznaczenia jej w jakiś sposób. Chociaż nie mamy swojego języka, nie mamy stroju. Nie ma też gwary, która występuje już na Powiślu. Mówi się o gwarze malborskiej, ale to już inna specyfika kulturowa. Gospodarze na Żuławach posługiwali się językiem dolnoniemieckim, którym oczywiście po ich wyjeździe po wojnie nikt tu się nie posługiwał i którego nawet nie chciałby używać. W okresie przedwojennym dużo osób z Kaszub przyjeżdżało na Żuławy w charakterze pracowników sezonowych, aby pracować u tak zwanych bauerów. Oni po wojnie czasem tu zostawali.

► **To, o czym pani mówi, brzmi jak bajka o wielokulturowości, ale przecież początki współżycia tak różnych ludzi na obcej ziemi na pewno nie były takie kolorowe.**

Na początku rzeczywiście nie było łatwo. Istniało wiele stereotypów, na przykład mówiono, że ci z Kieleckiego to złodzieje, przyjechali z „piasków” się dorobić, inni to „bose Antki”, a osadnicy zza Buga to „zabugole”. To była dość skom-

plikowana historia wzajemnych stosunków. Jedna z moich starszych rozmówczyń z mojej rodzinnej miejscowości, pochodząca z Wołynia, powiedziała: „Nie lubiliśmy tych z Kieleckiego, ale potem wszyscy i tak się pogodzili, jak przyszło do żeniaczki”. To wszystko się z czasem mieszało, zacierało i życie toczyło się dalej, a lekarstwem na waśnie była miłość.

► **Jest pani prezeską gdańskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego i sekretarzem Sekcji Stroju Ludowego. Skoro nie było specjalnego stroju na Żuławach, to skąd te zainteresowania badawcze?**

W sprawy strojów ludowych zaangażowała mnie Anna Weronika Brzezińska, ponieważ od końca lat czterdziestych XX wieku Polskie Towarzystwo Ludoznawcze wydaje serię *Atlas Polskich Strojów Ludowych*, której zeszyty są poświęcone różnym regionom. Zaczęłam tam działać, publikowałam w atlasie też wyniki badań dotyczących rękodzieła, w tym tkactwa na południowym Podlasiu i Lubelszczyźnie, koronki klockowej w Małopolsce czy snutki goliń-

skiej w Wielkopolsce. Badania są okazją do różnych spotkań, współpracy z badaczkami i badaczami w terenie. Gdy byłam studentką, to wakacje bez badań terenowych nie były dla mnie wakacjami. I najlepiej spędzałam je na rowerze. Doskonale pamiętam swoje pierwsze badania terenowe – jechaliśmy na rowerach w trzydziestu kilku stopniach Celsjusza, asfalt się topił, a ja byłam przeschęśliwa, że jadę na wywiad z powojenną osadniczką na Żuławach.

► **Prowadziła też pani badania na wyspie Olchon w Buriacji. Czym tam się pani zajmowała?**

To był projekt ze Studenckiego Koła Naukowego „Mozaika” działającego na kulturoznawstwie. Z opiekunką koła, Aleksandrą Wierucką, pojechaliśmy w 2010 roku na badania dotyczące szamanizmu wśród Buriatów na wyspie Olchon na Bajkale, ponieważ współpracowaliśmy z Uniwersytetem Stanowym w Krasnojarsku. Spędziliśmy na Syberii blisko trzy tygodnie. To było bardzo ciekawe doświadczenie, bo wodę samodzielnie czerpaliliśmy z Bajkału. I różne były tego konsekwencje [śmiech].



Mennonicki dom modlitwy w Jeziorze

Fot. dr Aleksandra Paprot-Wielopolska

► Nie baliście się?

Trochę tak, ale jakoś musieliśmy sobie tam radzić przez te trzy tygodnie. To był taki mój jedyny dłuższy wyjazd na badania terenowe poza Polskę. Ciekawe doświadczenie, ale uważam, że egzotykę można czasem znaleźć pod własnym nosem. My, etnolodzy, patrzymy na ten świat przez takie specyficzne okulary – szukamy wyjątkowości, inności w najbliższym otoczeniu. I staramy się zarażać tym spojrzeniem także naszych studentów. Myślę, że zanim zaczęłam studiować etnologię, ten sposób patrzenia na świat był już mi bliski. Ta potrzeba poznawania świata, otwartość na drugiego człowieka, próba analizowania i interpretacji tego, co w nim inne lub podobne.

► W jaki sposób to trzecie już pokolenie powojenne daje wyraz utożsamianiu się z Żuławaми?

Są różne stowarzyszenia, między innymi Stowarzyszenie Miłośników Nowego Dworu Gdańskiego – Klub Nowodworski, które jest najstarsze. Prowadzi ono Muzeum Żuławskie – Żuławski Park Histo-

ryczny, w którym znajduje się między innymi wystawa przekazana tam przez mennonitów z Holandii. Są tam też prezentowane treści już powojenne. Od kilkunastu lat jest organizowany Dzień Osadnika. Współpracujemy z tymi organizacjami w ramach Uniwersytetu Gdańskiego. Jeździmy do nich ze studentami na wizyty studyjne, warsztatowe. Staram się zabierać studentów na Żuławy, żeby je poznali. Jeździmy też do Muzeum Stutthof. Więźniowie obozu w czasie wojny pracowali też u żuławskich gospodarzy. To trudna, ale ciekawa historia, coraz częściej odkrywana. Przyglądamy się też temu co powojenne. Potrzeba kilku dekad, żeby nie powiedzieć: wieków, aby ta nowa kultura przywieziona przez powojennych osadników, miksująca się z tym co przedwojenne, zakorzeniła się w regionie. Kolejne pokolenia nie odziedziczą wszystkiego, ale wybiorą sobie to co modne, co im się podoba, zmodyfikują elementy kultury w przyszłości. To są mechanizmy, które my naukowo rozpatrujemy, uczymy również tego, że to naturalne, że kolejne pokolenia w różny sposób wartościują dziedzictwo.

Badania, które prowadzę na Uniwersytecie Gdańskim i w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym, nie ograniczają się jednak tylko do Żuław. Teraz realizujemy z lokalnymi instytucjami projekty związane z pokłonami feretronów na Kalwarii Wejherowskiej – to badania związane z niematerialnym dziedzictwem kulturowym. Czyli na Pomorzu te badania są szersze – wspieramy się, siecujemy i chcemy rekrutować młodszych badaczy, bo ważna jest też wymiana międzypokoleniowa.

► A jacy studenci przychodzą do was na studia?

Bardzo różni: są osoby po liceum i osoby w wieku okołoemerytalnym. To są dobre studia dla osób, które wiedzą już, czego chcą od życia, i mają własne pasje. Chcemy pielęgnować ich zainteresowania, dlatego zabieramy studentów na wyjazdy w teren. Dbamy, żeby spotkali się z ludźmi, którzy tworzą kulturę tradycyjną, ale i współczesną. Spektrum badań i prowadzonych u nas działań jest bardzo szerokie. Ja, przyznam, pilnuję tej tradycyjnej perspektywy, bo wiem, że o studenta etno-



Cmentarz mennonicko-ewangelicki w Fiszewie



Cmentarz mennonicki w Wikrowie

Fot. dr Aleksandra Paprot-Wielopolska

logii pytają instytucje realizujące projekty z programów, w których trzeba poprowadzić po prostu badania etnograficzne, porozmawiać z ludźmi na przykład o hafcie czy potrawach tradycyjnych. Sama przygotowuję ekspertyzy na temat potraw regionalnych i do tych ekspertyz potrzebna jest wiedza etnologa. Uważam więc, że prowadzenie tradycyjnych badań etnograficznych jest bardzo ważne. Czasem potrzeba zrobić badania podstawowe, czyli rozpoznać dane zjawisko i je opisać. W ramach Pomorskiego Centrum Badań nad Kulturą UG z socjologami prowadziliśmy badania rozpoznawcze miejskiego niematerialnego dziedzictwa kulturowego na zlecenie Miasta Gdańska. We współpracy z Instytutem Kaszubskim rozpoczęliśmy też badania związane z Jarmarkiem św. Dominika, żeby te praktyki wpisać

na krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego. W ten projekt zaangażowani są też nasi studenci.

► **Zainteresowała mnie pani tymi ekspertyzami dotyczącymi potraw regionalnych. W jaki sposób certyfikuje się naukowo produkt regionalny?**

To jest proces regulowany przez Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Taki produkt powinien mieć udokumentowaną, przynajmniej dwudziestopięcioletnią tradycję. Z depozytariuszami tej tradycji trzeba przeprowadzić rozmowy, dowiedzieć się, czy rzeczywiście babcia, mama tak to wykonywały, co zapamiętali, jak wyglądał proces przygotowywania potrawy. Jako etnolog robię ekspertyzę umocowaną w źródłach, sprawdzam, czy na tym terenie

przed wiekami takie pożywienie rzeczywiście było charakterystyczne dla mieszkańców. Wprawdzie w przypadku Żuław wiele z tych potraw było przywiezionych, ale jeśli funkcjonują one już wiele lat i są stale wytwarzane w ten sam sposób, to można uznać je za tradycyjne. Organem wnioskującym są zwykle koła gospodyń wiejskich i osoby prywatne, które mają udokumentowane przepisy. Dotychczas przygotowywałam głównie ekspertyzy z Powiśla, na przykład piernika staropolskiego z Powiśla czy maślanych ogórków kiszonych (tartych i zasmażanych). Na Powiślu wzdłuż Wisły kontynuowane są tradycje sadownicze, które przejęli powojenni osadnicy i produkują na przykład w Nebrowie Wielkim nalewkę ze śliwki.

► **I tym apetycznym akcentem zakończmy naszą rozmowę...**